

Śniadała, Stanisław

Wspomnienie o Janie Kobusie - żołnierzu AK, więźniu Stutthofu, wiejskim nauczycielu

Zeszyty Naukowe Ostrołęckiego Towarzystwa Naukowego 8, 266-280

1994

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

WSPOMNIENIE O JANIE KOBUSIE

– ŻOŁNIERZU AK, WIĘŹNIU STUTTHOFU,

WIEJSKIM NAUCZYCIELU¹

Urodził się kwietniu 1921 roku na Górnym Śląsku, w Czeladzi, w rodzinie, która dopiero niedawno zmieniła przynależność klasową. Ojciec jego, Konstanty Kobus, był rodowitym Kurpiem, który urodził się i wychował w Wolkowych, miejscowości oddalonej 4 km od Myszyńca. Dziadek Jana Kobusa był bogatym gospodarzem. Posiadał w Wolkowych 70 ha ziemi, dorodny inwentarz, najpiękniejsze w okolicy konie. Będąc w sędziwym wieku podzielił ziemię między pięciu synów. Dla najmłodszego, Konstantego (ojca Jana) przypadło 14 ha dobrych, urodzajnych gruntów. Po śmierci ojca i matki starsi, dorosli już bracia, wyjechali do Ameryki. Na ojcowiznie pozostał Konstanty, jeszcze wówczas niepełnoletni. Opiekował się nim wuj, gospodarzący w Wolkowych.

Dorósłszy do pełnoletności, nie chcąc przeżywać powtarzających się konfliktów o podział ziemi, wyjechał (jeszcze przed I wojną światową) do Niemiec w okolice Wąbrzeźna. Pracował we dworze. Poznał tu swoją przyszłą żonę, Antoninę Burzawę, pochodzącą z kieleckiego, z miejscowości Kije.

Gdy skończyła się wojna i Polska odzyskała niepodległość, wyjechali do miejscowości rodzinnej żony. Ciężkie musiały być warunki życia w Kielecczyźnie, bo Konstanty wyjechał z rodziną do Czeladzi i podjął pracę w KWK „Saturn”. Pracował pod ziemią. W 1928 roku, dowiedziawszy się, że na Kurpiach przeprowadza się komasację gruntów, opuścił kopalnię i wyjechał z rodziną do Wolkowych, by osiąść na ojcowiznie. Zdołał z 14 ha swej ziemi odzyskać zaledwie 6 morgów, nie najlepszej ziemi, położonej na kolonii wsi Wolkowe.

Jan Kobus był trzecim z kolei dzieckiem w 7-osobowej rodzinie. Miał czworo rodzeństwa. Naukę szkolną rozpoczął w Wolkowych, w sześcioddziałowej szkole publicznej. Ukończył 6 klas, mimo iż uczęszczał 7 lat – zgodnie z ówczesnym systemem oświatowym.¹

1. Wczesna młodość, nauka, służba wojskowa

Warto wspomnieć, iż Jan Kobus był uczniem pilnym, bardzo zdolnym, żywym i wrażliwym. Duże zainteresowanie przejawiał czytelnictwem książek, rysunkami, majsterkowaniem. Posiadał uzdolnienia malarskie, językowe i polonistyczne. Przejawiał też zdolności poetyckie. Podejmował próby układania wierszy. Przeczytawszy ciekawsze książki z wypożyczalni szkolnej, wypożyczał różne powieści z biblioteczki domowej kierownika szkoły. Rzeczywiście był dzieckiem dziwnym. Był młodzieńcem ciekawym ludzi i świata. Nie interesowały go zupełnie (codzienne) prozaiczne czynności domowe i prace gospodarskie. Jego natura skłaniała go do uduchowienia życia, do wędrówki w świat nieznany. Monotonnie było w Wolkowskich ulicach – wiejskich, szarych opłotkach i tym bardziej coś go skłaniało do wojażowania; wbrew sugestiom rodziców marzył stale o wędrówce ku dalekim miastom.

W 1935 roku, zapragnął urzeczywistnić swoje marzenia i wyruszyć w świat daleki. Udaje się w pierwszą swoją wędrówkę do Grodna. Odwiedza swego przyrodniego brata, odbywającego służbę wojskową w 6 pułku piechoty. Przybycie do Grodna w większości drogi w pieszej wędrówce, 14-letniego braciszka było wielce niespodziewane. Spotkanie braci było miłe i serdeczne. Dowódca kompanii (doceniając poświęcenie i odwagę chłopca), wręczył bratu Józefowi kilkugodzinną przepustkę, dzięki czemu Jan mógł zwiedzić barokowe kościoły, muzeum, być w kinie, oglądać rynek starego miasta, przyjrzeć się zabytkowym gmachom i ludziom na ulicach miasta.

Wróciwszy do domu, wkrótce udał się w nową wędrówkę, tym razem do Druskiennik – miejscowości nad Niemnem, gdzie mieszkał jego wuj – Władysław Dudała, który przybył do Druskiennik przed laty z dalekich Kij w Kieleckiem, by w tej białoruskiej osadzie objąć posadę organisty, wiele znaczącą wówczas funkcję w życiu społeczności katolickiej. Spotkanie z wujem, po wędrówce gościńcami, leśnymi traktami, noclegami w przydrożnych chatkach, było wielkim, niezapomnianym przeżyciem.

Nastąpiło serdeczne, gorące powitanie. Wuj przyjął go naprawdę serdecznie, z otwartymi ramionami. Opowiadał o Polakach żyjących w ziemi nadniemeńskiej, o Bohatyrowiczach znanych z powieści E. Orzeszkowej pt: „Nad Niemnem”. O tym, że w Druskiennikach

ma letnią rezydencję naczelnik Państwa, Józef Piłsudski i pozwala dzieciom przychodzić do swej willi. Straże wpuszczają małych Polaków bez przeszkód, taka jest wola wodza narodu – lubiącego małą dźiatwę.

Z wujem chodził do kościoła, oglądał piękne witraże, freski, rzeźby, słucliał gry na organach, poznawał nuty. Mile wspominali wieczorami ojczyście strony, Ziemię Kielecką i Kurpiowską.

Powrócił z Druskiennik w połowie października. Zimę przesiedział w domu, pomagając rodzicom w zajęciach domowych, czytając książki przy naftowej lampie. Gdy przyszła wiosna, zapragnął wyjechać do Ameryki. Miał za oceanem swoich stryjów, utrzymywał z nimi sporadyczny kontakt. Wyrusza do Gdyni, największego polskiego portu nad Bałtykiem. Nie mając pieniędzy na bilet, próbuje szczęścia, chce jechać „na gapę”. Wszedłszy na okręt, schodzi do dolnej kajuty i chowa się w beczce, ale dostrzeżony zostaje przez marynarzy, musi opuścić statek i zejść na ląd. Nie udało się podróż za ocean. Po kilkunastu dniach powraca do Wolkowych, zdesperowany, ale cały i zdrowy.

Latem następnego roku rodzice postanowili oddać go do szkoły. Nie było to jednak takie łatwe. Nie było przecież szkół bezpłatnych. Opłaty, tak zwane czesne, przerastały możliwości finansowe biedne kurpiowskie rodziny. Matka znalazła jednak wyjście z sytuacji. Udała się do ks. Kłoskowskiego, proboszcza myszyńieckiej parafii i uzyskała protekcję dla swego syna. Dzięki życzliwości, dobremu sercu, dobroczynnej działalności tego duszpasterza wśród „puszczańskiego ludu”, mógł podjąć naukę w szkole rzemieślniczej w Ostrołęce. Został przyjęty do klasy I i do bursy szkolnej – zwolniony od opłat edukacyjnych. Mimo to z trudem starczało rodzicom na codzienny wikt i małe choćby potrzeby osobiste syna. W klasie II szkoła zażądała należnych opłat. Rodzice nie dali pieniędzy. Ze szkołą trzeba było się „pożegnać”. Trzeba jednakże powiedzieć, że ukończenie jednej klasy miało zaowocować w przyszłym, dorosłym życiu. Za dyskretną namową rodziców, postanowił wstąpić do seminarium duchownego w Niepokalanowie. Przyjmował go sam ojciec Kolbe. Ale niedługo przebywał w murach klasztornych. Nie mógł – jak często wyznawał – wytrzymać u zakonników, gdyż trudno było sprostać wymaganiom życia zakonnego, przestrzegać reguł obowiązujących młodych kleryków. Po kilku tygodniach klasztorne go życia znów powrócił do

domu rodzinnego, mówiąc Ojciec Kolbe powiedział, że ze mnie księdza nie będzie.

I wówczas zarysowała się zupełnie realna możliwość usamodzielnienia się – służba w wojsku. Zgłosił się do WKU w Łomży. Będąc młodym, zdrowym, silnym młodzieńcem został przyjęty jako ochotnik do Junackich Hufców Pracy. Z Łomży wyjechał na wybrzeże. Został przyjęty do 49 kompanii JHP (Junackie Hufce Pracy, stacjonującej w Jastarni. Na wybrzeżu pracuje przy rozbudowie umocnień wojskowych, najdłużej przy rozbudowie fortyfikacji helskiego portu. Pełni funkcję magazyniera. Obowiązki swoje wykonuje dobrze i sumiennie. Otrzymuje nawet pochwałę za dbałość o powierzone mienie i rzetelność w służbie. Przydała się umiejętność pięknego, kaligraficznego pisma nabyta w szkole rzemieślniczej.

2. Przeżycia wojenne i okupacyjne

Służba w wojsku dobiegała końca. Nadszedł dzień 1 września 1939 roku. Junacy z Junackich Hufców Pracy wspierają piechotę morską. Walczą w obronie polskiego wybrzeża.

Po upadku Gdyni, podobnie jak wielu innych, podejmuje próbę przedarcia się do rodzinnych stron. Przebiera się w cywilne ubranie i po wielu dniach (i licznych przygodach) pod koniec września 1939 r. dociera do Wolkowych.

Przebywa w domu rodzinnym. Smutne nastaly czasy, pełne przygnębienia i bólu, mimo że na terenach przygranicznych jest nawet trochę lepiej niż w innych częściach Polski (tutaj wielu niemieckich urzędników, to niedawni cywile, Mazurzy, sąsiedzi Kurpiów zza miedzy „rowu granicznego”, dzielącego przed wojną bliskich językowo i kulturalnie Kurpi i Mazurów). Jan szuka kontaktów z oddziałami partyzanckimi działającymi w lasach okalających Myszyniec. Ale otrzymuje wezwanie z Arbeitsamtu z Myszynca i zostaje wywieziony na przymusowe roboty w okolice Elku. Przydzielono go do pracy we wsi Skomenten (dzisiejsze Skomento). Pracuje w gospodarstwie Mazurki, której mąż, żołnierz Wehrmachtu, walczy na froncie wschodnim.

Mazurka ta to ciekawa kobieta, o polskim nazwisku, Jezierska. Mówiła gwara mazurską. Lubiła rozmawiać z jeńcem i słuchać gwary kurpiowskiej.

Postanowił uciekać do Polski (z okolic Elku do Myszynca nie było tak daleko). Uciekając, wziął biblię Jezierskiej, gdyż nie raz czytał

swojej gospodyni fragmenty wielu ksiąg, a Mazurka obiecała ją ofiarować po wojnie. (Pimo Święte napisane było po mazursku).

Szczęśliwie dotarł do domu rodzinnego. Przeżywał obawę przed aresztowaniem. Ukrywał się przed Niemcami. Sypiał u sąsiadów (w stodołach, w stogach siana, na brogach, czasem (na chlewie) we własnej zagrodzie. Ukrywanie się trwało dość długo. Któregoś dnia przyjechało dwóch żandarmów z Myszyńca. Z gościńca skręcali w stronę posesji Kobusów. Matka, zauważywszy Niemców, ostrzegła syna. Zdążył w ostatniej chwili schować się w rosnące za oborą konopie i bób. Żandarmi zachowywali się spokojnie. Rozmawiali po mazursku. Jeden z nich, o nazwisku Wilnecki, powiedział do ojca: „Kobus, poziedźcie Jankoziu, żeby wylos z tech konopsiow, bo my zidzielim, jek on tam włąziu!”.

Wywieziony został na roboty do Prus Wschodnich w okolice Goldapi. I tym razem udało mu się uciec i szczęśliwie wrócić do rodziców. Teraz nawiązał współpracę z oddziałem partyzanckim AK operującym w rejonie Puszczy Kurpiowskiej. Aresztowany jednak został wkrótce przez żandarmów i osadzony w więzieniu w Łasku, koło Ostrołęki. W więzieniu (w Łasku) miała swoich ludzi konspiracja. Dzięki inicjatywie ludzi z AK Jan Kobus przydzielony został na służbę do amstkomisarza w Myszyńcu (odpowiednik wójta). Opiekował się końmi, sprzątał w gabinecie amstkomisarza. Miał możliwość swobodnego poruszania się po Myszyńcu i okolicy. Mógł więc odwiedzać rodzinę w Wolkowych.

3. Walka z okupantem hitlerowskim

W uzgodnieniu z dowódcą oddziału zamieszkał w wynajętym mieszkaniu w Myszyńcu, w domu Państwa Gotardów, aby mieć łatwiejszy kontakt z kolegami z lasu. Zbiera informacje przydatne dowódcy oddziału, porucznikowi Stefanowiczowi.

Przyjmuje pseudonim „Szejek”. Miano to pasuje do jego sposobu bycia i myślenia. Jest rzeczywiście wyrazem „swoistej postawy i filozofii życiowej”. Pseudonim ten sam sobie wybrał – wspomina partyzant Szczepan Pliszka, mieszkający w Szczytnie.

Informacje o mających nastąpić akcjach przeciwko Polakom, zdobywał dzięki znajomości języka niemieckiego. Przydały się umiejętności szoferskie nabyte w JHP w Jastarni. Dzięki nim zostaje kierowcą

amstkomisarza. Pracuje w dziale zaopatrzenia. Wyjeżdża ze swoim zwierzchnikiem nie tylko do kurpiowskich miejscowości, ale i dalej, do Rozóg, Szczytna, Spychowa, Mrągowa. W dzień jest u Niemców, wieczorem idzie (do lasu), do oddziału.

Bierze udział w akcjach partyzanckich. Rodzina przechowuje zaświadczenie, wydane przez Kazimierza Stefanowicza, dowódcę 33 plutonu piechoty AK, działającego w obwodzie ostrołęckim, stwierdzające, że Jan Kobus, pseudonim „Szwejk”, odznaczył się w potyczce z niemiecką grupą „Teldpolizei” w rejonie wsi Bandysie oraz w akcji zdobywania broni na terenie Prus Wschodnich – w starciu z żołnierzami Wehrmachtu w Nowej Wsi, w powiecie Szczytno. Brawurowa akcja żołnierzy AK zaskoczyła załogę „Landwehru” (niemieckiego posterunku) i zakończyła się powodzeniem.

Jednakże konspiracja, mimo zachowywania tajności narażona jest na niebezpieczeństwo dekonspiracji, jak mówiono – „wpadki”. Niemcy obiecywali wiele, aby pozyskać konfidentów. Pojawiali się oni – wprawdzie rzadko, ale ktoś z volksdeutschów doniósł, że Jan Kobus współpracuje z partyzantami. Donos ów był widocznie enigmatyczny, bo mimo aresztowania obchodzono się z aresztantem „poprawnie”. Niebezpieczeństwo zawisło rzeczywiście duże. Był często prowadzony na śledztwo, pod eskortą. W śledztwie wszystkiemu zaprzeczał, nie przyznawał się do przynależności do AK.

Gdy któryś raz prowadził go żandarm (z bronią gotową do strzału) na przesłuchanie postanowił uciekać. Chociaż ucieczka była bardzo niebezpieczna, dawała isierkę nadziei. Gdy znalazł się z konwojującym Niemcem w okolicy cmentarza, skutymi rękami podbił broń Niemcowi i rzucił się do ucieczki. Klucząc, biegł ku murowi cmentarza. Przed cmentarnym murem otrzymał postrzał w nogę, na szczęście niegroźny, przeskoczył mur i uciekał, klucząc między drzewkami i mogiłami. Goniący go Niemiec krzychał: „halt, halt”, strzelając z karabinu. Nim zdołał wspiąć się na przeciwległy mur, otrzymał postrzał niebezpieczny w rękę. Uływ krwi stawał się znaczny, ale mógł jeszcze biec w stronę rzeki Rozogi, ku zbawczym nadrzecznym łozinom. Wszedł do wody, była zimna (był to koniec marca), przeszedł na drugą stronę potoku, znów wszedł w nurt rzeczny przeszedł (pod prąd wody) kilkaset metrów. Instynktownie wiedział, że w ten sposób może zatrzeć ślady przed pogonią. Szedł na północ, zbliżał się ku swojej rodzinnej wsi, Wolkowych. Ujrzawszy zabudowania kolonijne

wyszedł z wody i pobiegł pędem do najbliższej chaty. Wolkowianie przebrali go w suche (i ciepłe) odzienie, opatrzyli rany. Z obawy przed niemiecką pogonią proszono go, by próbował przedostać się do odległych o ponad 6 km Krysiaków, do kolonii położonej nad rozległymi obszarami łąk i moczarów, na obrzeżu których rozpościerał się sosnowy las.

Ostatkiem sił dotarł do chat Krysiaków. Schronienia udzielali mu krysiaccy rolnicy. Bali się Niemców. Jeden z nich, J. Sobotka, powiedział: „Janku, idź dalej, do Pawelczyków, ja mam dużo dzieci, my wszyscy zginiem, jak Niemcy tu przyjdą i cię znajdą” – i przewiózł go nocą do J. Pawelczyka. Tu został przyjęty serdecznie, mimo iż z obawą. Dla bezpieczeństwa urządzono zmyślne schornienie w studni, na poziomie lustra wody. U Pawelczyków czuł się jak w rodzinie. Serdecznie zaopiekowała się nim córka Stefania, przyszła żona. Dzięki jej troskliwej opiece szybko zagoiły się postrzałowe rany. Po całkowitym wyzdrowieniu zaczęło się nowe życie. W dzień pracował z rodziną Pawelczyków, wieczorami udawał się do oddziału.

Jeden z oddziałów partyzanckich urządził w domu Pawelczyków punkt kontaktowy. Okolica sprzyjała maskowaniu, gdyż chata gospodarza stała na końcu kolonii, w bezpośredniej łączności rozległych łąk i moczarów, za którymi widniał zbawczy las. Żyło się tu względnie spokojnie, ale tylko do końca września 1944 roku.

W początkach października przyszło nieszczęście, ktoś doniósł Niemcom, że w domu Pawelczyków (i w pobliskim schronie na łące) przebywają partyzanci polscy i „ruscy”. Rzeczywiście, z oddziałem AK współpracowała grupa radzieckich spadochroniarzy-radiotelegrafistów, których zadaniem, obok dywersji (organizowanej wspólnie z Polakami) było przekazywanie informacji o ruchach wojsk niemieckich.

Jednym z telegrafistów była kobieta, komsomołka Tatiana, rodowita Rosjanka. Bardzo mile wspominał Jan Kobus telegrafistę Iwana Mosakowskiego, rodem z Białorusi.

Niemcy urządzili oblężenie, by ująć partyzantów. Zaczęli przeczesywać najbliższą okolicę, kierowali się ku zagrodzie Pawelczyków. Słyszając strzały i widząc tyralierę niemieckich żołnierzy, Jan Kobus radził ukrycie się w studziennej kryjówce – taki ratunek podpowiadała intuicja. Być może miał rację, uratowała się Rosjanka Tatiana, która ukryła się w studni. Ci, którzy uciekali, zginęli, karabiny maszynowe gęsto „przeczesywały” łąki i zagony zaoranego pola. Życie

zachował tylko Jan Kobus. Intuicja go uratowała, gdyż padł na ziemię i leżał bez ruchu, udając nieżywego. Przykra była niewola, ale dawała jakąś jeszcze szansę.

Trzeba powiedzieć, że szczęście miała rodzina Pawelczyków. Nikt nie zginął. Przeżyli strzelaninę, chociaż kule podziurawiły ich chałupę. Leżąca na łóżku (w dużej izbie) mała dziewczynka nawet nie została zadraśnięta, chociaż kule podziurawiły poduszkę i pierzynę, którą była nakryta. Niemcy znęcali się nad rodziną Pawelczyków.

Na przesłuchanie zabrali ojca, syna Czesława i córkę Stefanię. Przesłuchania były „ciężkie”, dramatyczne – wspomina Stefania Pawelczyk, żona Jana Kobusa – szczególnie męczące w Snopkach koło Pizsa. Cudem uratowali życie. „Mądrze” się tłumaczyli. Nie przyznając się do współpracy z partyzantami, twierdząc, że ludzie z lasu grozili im i musieli ulegać, by uchronić życie. Niemcy wywieźli ich do więzienia w Królewcu. Po wielu dramatycznych przeżyciach, poniewierce i głodzie, po zdobyciu Królewca przez Armię Czerwoną powrócili do domu.

4. W obozie koncentracyjnym Stutthof

J. Kobusa (skutego) przywieziono do Myszyńca. Na drugi dzień do Ostrołęki. Mimo bicia nie wydał nikogo. Został wkrótce odstawiony do więzienia w Płocku. Tu poddawany był okrutnemu śledztwu. Mimo tortur nie wydał nikogo, nie załamał się.

Z Płocka został odtransportowany do obozu koncentracyjnego w Stutthofie, jako więzień polityczny. Przebywał tu kilka miesięcy. Przeżył całą obozową gehennę. Ale ocalał. Trzeba powiedzieć, że miał szczęście. Rozumiał, że aby przeżyć, trzeba wykonywać jakąś potrzebną Niemcom robotę.

Zgłosił się więc najpierw do wyplatania koszyków. Nie znał tej umiejętności, szybko przyuczył się. Był w grupie więźniów, którą poddawano pseudodoświadczeniom medycznym. Szczęście go nie opuszczało. Nie zachorował na częstą obozową chorobę, biegunkę. Znalazłszy kawałek chleba spleśniałego, czy zgniłej marchwi, nim je zjadł, przypiekał na rozgrzanych blatach. Znajomość języka niemieckiego pomogła w dostaniu się do pracy w obozowej introligatorni. Zgłosił się, udając, że umie oprawiać dokumenty, chociaż był laikiem, nie znał się na sztuce oprawiania. Trafił na dobrego Niemca. Nie „wyrzucił” go, ale nauczył tej przytecznej umiejętności.

Zachował się krótki list pisany z obozu w Stutthofie do rodziny. Donosił w nim, tak jak wymagały władze obozowe, że jest „sehr gesund”, że jest mu dobrze, nic mu nie potrzeba, prosi tylko o przysłanie machorki.

Gdy zbliżał się front wschodni, Niemcy postanowili ewakuować nadających się do pracy więźniów. Pędzili ich zwartymi kolumnami w kierunku Szczecina. Gdy kolumna pędzonych, w której był Jan Kobus, znalazła się w okolicach Lęborka i weszła w zwarty las, kilku więźniów rzuciło się do ucieczki. Był wśród nich i on. Wbiegł w las, biegł szybko. Słyszał rozlegające się strzały. Ucichły odgłosy uciekających. Niemcy nie gonili ich daleko, skierowali uwagę na więźniów zatrzymanych na szosie. Po jakimś czasie poczuł ból w nodze i zobaczył krew. Mimo osłabienia, biegł dalej na południe. Miał na sobie obozowe pasiaki, ale nie było możliwości przebrania się. Po kilku godzinach, głodny i wyczerpany, u kresu sił, bojąc się nocować w lesie (mimo strachu) podszedł do chaty pod lasem, oddalonej od wioski. I tym razem miał szczęście. Trafił bowiem do rodziny kaszubskiej. Kaszubi okazali się ludźmi dobrymi. Przygarnęli uciekiniera z obozu, udzielili schronienia, dali cywilne ubranie, wyleczyli rany. Chronił się u tej rodziny do przyścia wojsk radzieckich. Teraz on tłumaczył Rosjanom, że ci ludzie, to nie Niemcy, lecz Polacy, nazywani Kaszubami.

Poczuwszy się na siłach, podejmuje kolejną wędrówkę do domu. By móc bezpiecznie poruszać się w drodze, wylegitymować rosyjskim patrolom wojskowym, poprosił wójta gminy Zblewo o zaświadczenie. Zaświadczenie wydane w dniu 15 stycznia 1945 roku, podpisane przez wójta gminy Gajewskiego stwierdza, co następuje: „Z powodu braku dowodu tożsamości wydaje się niniejsze zaświadczenie i stwierdza, że petent Jan Kobus, zbiegł z lagru Stutthof”.

Miał rację, zaświadczenie przydało się w drodze do domu, a także później, gdy załatwiał różne sprawy w urzędach (też w ZBOWID-zie) w Ostrołęce, Warszawie i w Olsztynie.

Żył uznanie dla Rosji za odzyskanie wolności. Wkrótce jednak nastąpiło rozczarowanie, doświadczył prześladowań ze strony NKWD. Ze smutkiem wspominał rozmowę z radzieckim oficerem, „enkawudziwą”. Tylko przytomności umysłu, zmysłowi bystrej obserwacji, zawdzięczał uniknięcie więzienia lub wywózki na Sybir. NKWD-ista zmuszał go do przyznania się do przynależności do AK,

czemu stanowczo zaprzeczał, wiedząc z informacji dowódy, porucznika Kazimierza Stefanowicza, że Rosjanie więzią, wcielają do wojska lub deportują do Rosji Akowców. Gdy nie przyznawał się, Rosjanin zaczął stawiać podchwytliwe pytania. Mówił: „A Bora ty znasz”. Bora znaju” – odpowiedział. „Bor, to po naszymu las”. „Wot durak” – stwierdza ów oficer. „Bora, waszego kamandira”. „Bora, kamandira to ja nie znał, nie wiem, kto eto takoj”.

5. Nauczyciel kurpiowskich i mazurskich dzieci

Dalsze dzieje, to już czasy Polski Ludowej.

Mówił, że nie nadawał się do pracy na ojcowskiej ziemi. Nie miał ani zainteresowania, ani predyspozycji ku rolniczym zajęciom. Praca na roli nie odpowiadała jego naturze i usposobieniu. Miał natomiast dar pięknego opowiadania własnych przeżyć, fabuły utworów literackich, skłonność do pisania wierszy, umiejętność pięknego (kaligraficznego) pisania, predyspozycje, by uczyć innych, być nauczycielem. Zwrócił na te inklinacje uwagę nauczyciel z Krysiaków Wł. Pawelczyk. Ulegając własnym skłonnościom, a po trosze sugestiom przyjaciół, podejmuje pracę nauczycielską.

Przychylny mu jest Inspektor Oświaty i Wychowania Ostrołęce, Alojzy Fronczak, który wychodzi z założenia, że świadectwo ukończenia jednej klasy przedwojennej szkoły można uznać za „małą maturę” i przyjmuje go do pracy w szkole podstawowej. Pierwszą placówkę otrzymał we wsi Ksepki, w szkole o jednym nauczycielu, mającej klasy I, II, III i IV. Mieszka tu z żoną i małą córeczką.

Umowa o pracę obligowała do uzupełnienia wykształcenia na tzw. nauczycielskich kursach pedagogicznych. Uczy więc dzieci, często przerośnięte i kontynuuje naukę. Kończy zaocznie liceum pedagogiczne w Ostrołęce (uzyskuje maturę), a później Studium Nauczycielskie w Olsztynie. Ciężkie było nauczycielskie życie, trudna egzystencja ich rodzin. Pensji rządowych nie było. Jedynie rodzice dawali za naukę dzieci dobrowolne „datki” w naturze najczęściej: żyto, mąkę, masło, mleko, jajka, ziemniaki (czasami drobne kwoty pieniężne). Wprowadzone pensje były również nie wystarczające (bardzo niskie), by godziwie żyć.

Pierwsze lata pracy szkolnej obfitowały w różne perypetie. Szkoła była przecież instytucją polityczną. Praca nauczycieli oddziaływała

w określony sposób na wiejskie środowisko. Podlegali oficjalnie władzy ludowej (oświatowej i politycznej), ale w swoisty sposób kontrolowani byli przez „państwo podziemne” – organizacje zwalczające ludową władzę, walczące o zwycięstwo demokracji, o wolną, demokratyczną i w pełni niepodległą Polskę – znamy ich nazwy – UPA, WiN i inne. Konfliktową na terenie szkoły była sprawa orła białego – godła Polski. Wspominał Jan Kobus, iż wymyślił postać orła o dwóch widokach. Na jednej stronie (płaszczynie) widniał orzeł bez korony, a po jej odwróceniu ukazywał się orzeł z koroną królewską, godło historyczne, miłe sercu Polaków.

Gdy było spokojnie wisiał na ścianie orzeł „urzędowy” (bez korony), gdy zbliżali się ludzie z lasu (z konspiracji), przekręcał godło na stronę orła z koroną. Gdy „leśna władza” zaużyła orła komunistycznego, nie szczędzono biednemu nauczycielowi „kijów”. Były to czasy walki o utrwalenie władzy ludowej. Ginęli ludzie z obydwu stron, utrwalacze władzy robotniczej i ludzie z konspiracyjnych oddziałów – łała się bratnia polska krew.

Jan Kobus starał się być dobrym nauczycielem. Lubił swój zawód i pracę z dziećmi. Był ich prawdziwym przyjacielem. Przydały się wrodzone uzdolnienia i wyćwiczone umiejętności – językowe, filologiczne, malarskie. Omawiając z uczniami fabułę utworów, mógł ilustrować przebieg zdarzeń, rysując na tablicy świat roślin i zwierząt, ludzi, zmieniające się sytuacje. Rysuje dla potrzeb dydaktycznych krajobrazy i ilustracje. Wypożycza książki ze szkolnego księgozbioru i z własnej biblioteczki nie tylko dzieciom, ale także młodzieży i rodzicom.

Prowadził kursy oświatowe dla analfabetów i w zakresie klas V-VI-VII szkoły podstawowej, umożliwiając młodym ludziom uzyskanie podstawowego wykształcenia. Szkoły, w których uczy, są zintegrowane ze środowiskiem lokalnym. Rodzice pomagają szkole, czuje się współodpowiedzialność za wyniki nauczania i wychowania dzieci. Warunki pracy były trudne. Brakowało budynków szkolnych, uczono w izbach wynajętych u gospodarzy.

Jan Kobus pracował w kilku szkołach w powiecie ostrołęckim i kolneńskim. Z pierwszej placówki w Ksepkach przeniósł się do Dębów, następnie do Piątkowizny, Niedźwiedzia, Korzenistego, Golańki i wreszcie do Krysiaków, skąd pochodziła jego żona Stefania. Tutaj też nie było szkoły, izby lekcyjne urządzano w mieszkaniach

u gospodarzy. Ale nim przeniósł się do Krysiaków, krótko pracował w administracji państwowej i to dość wysokiego szczebla, był bowiem burmistrzem miasta Kolna. Stało się to za zgodą starosty kolneńskiego i wojewody białostockiego, Mieczysława Moczara. W różnych barwach wspomina te niby dobre „burmistrzowskie czasy”. Jak wiadomo, każda państwowa posada nakłada obowiązki, ale daje też przywileje. W Kolnie stał się osobą znaną i znaczącą. Szybko nawiązał znajomości z notablami miasteczka. Chciał coś dobrego dla grodu zrobić. Dzisiaj śladem jego kolneńskiego urzędowania jest park miejski, w którym sadił egzotyczne drzewa. Z satysfakcją wspomina pomoc, której udzielał ludziom biednym, nie mającym dachu nad głową. Pomógł wielu kurpiowskim rodzinom otrzymać mieszkanie komunalne. Działo się to wszystko tak dawno, a jednocześnie niedawno. Można by rzec słowami Kamila Cypriana Norwida, że „przeszłość to dziś, tylko trochę dalej”.

W 1958 roku przenosi się z Krysiaków na Mazury do miejscowości Orzeszki w powiecie szczycieńskim, niedaleko Klonu i Rozóg. Otrzymuje pracę w 6-oddziałowej szkole o 2 nauczycielach. Jest jej kierownikiem. W pierwszych latach pracy w tej placówce uczył dzieci kurpiowskie i mazurskie, które chociaż swobodnie mówiły po mazursku znały potoczny język niemiecki. Dzieci i ich rodzice w swych domach częściej mówili po polsku, niż po niemiecku.

W Orzeszkach nie oddawał się Jan Kobus wyłącznie pracy nauczycielskiej. Obok zajęć szkolnych prowadził ożywioną działalność oświatowo-kulturalną, organizując kursy dla dorosłych (dające ukończenie klasy siódmej), kursy kroju i szycia, a także powołał zespół aktorski, wystawiający sztuki teatralne (wystawiono np. sztukę Bałuckiego „Grube ryby”, Wyspiańskiego „Warszawiankę”).

W pracy szkolnej na uwagę zasługuje prowadzenie zajęć pozalekcyjnych, np. w kółku introligatorskim, zespole modelarskim – cieszącym się dużym zainteresowaniem uczniów, gdyż mogli wykonywać piękne modele okrętów, samolotów, pojazdów samochodowych. Zajęcia te rozwijały w dużym stopniu umiejętności manualne, myślenie obrazowe, ale i koncepcyjne; dawały młodzieży wiedzę politechniczną. Jan Kobus posiadał wiele dyplomów świadczących o ukończeniu różnych kursów technicznych związanych nie tylko z edukacją szkolną. Szkoła w Orzeszkach posiadała prawdziwą scenę, na wzór scen teatralnych. Ułatwiała to inscenizację utworów, dekorowanie wnętrz, gdzie rozgrywała się ukazywana akcja.

Kierownik szkoły w Orzeszkach lubił kontakty z ciekawymi ludźmi. Zapraszał ludzi pióra na spotkania autorskie, które kończyły się najczęściej długimi „pogawędkami” w jego mieszkaniu, początkowo jeszcze przy lampie naftowej.

Do ciekawych można zaliczyć spotkania z kustoszem Muzeum Mazurskiego w Szczytnie Janem Jałoszyńskim; dziennikarzem miesięcznika (społeczno-kulturalnego) „Warmia i Mazury” – Józefem Mickiewiczem, pisarzem olsztyńskim Gerardem Skokiem, autorem m.in. książki „Zagłada pruskiej fortecy”, satyrykiem warszawskim Ziemowitem Kunińskim; lubianym przez wszystkich, znanym malarzem warszawskim Januszem Podoskim, umiejącym zajmująco opowiadać o własnych przeżyciach i anegdotach z życia arystokratycznych rodów.

Najczęściej były spotkania autorskie i towarzyskie z pisarzem kurpiowskim, mieszkającym w Olsztynie, Henrykiem Syską – wielkim miłośnikiem Ziemi Kurpiowskiej, autorem blisko 60 książek o życiu Kurpi i ich kulturze (także o Kurpiach białych, zwanych przez niektórych etnografów Gotami).

Obcowanie z ludźmi pióra wywiera pozytywny wpływ na rozwój osobowości Jana Kobusa. Wyzwała zainteresowania pisarskie, pobudza go do podjęcia własnej twórczości. Debiutem pisarskim jest artykuł zamieszczony w monografii „Szczytno – z dziejów miasta i powiatu”, napisany wspólnie z J. Jałoszyńskim (kustoszem szczytnowskiego muzeum), mający tytuł „Mazurzy i Kurpie”. Później zamieszcza artykuły w „Warmii i Mazurach”. Píše o kulturze materialnej i sztuce użytkowej Kurpi, artystach ludowych, wytworach ich pracy, handlu przez zieloną granicę, potomkach powstańców 1863 r. żyjących w wioskach mazurskich. A oto tytuły niektórych artykułów: „Złote ręce Kurpianek i Mazurek”, „Wśród bartników i rybaków”, „Śpiew na krosnach”, „Kurpiowscy Mazurzy”, „Przez zieloną granicę”.

Pracując w szkole w Orzeszkach, pełni funkcje społeczne i honorowe. Jest przewodniczącym koła ZBOWID-u w Rozogach, prezesem wiejskiego koła PSL, należy do aktywu Związku Nauczycielstwa Polskiego, współpracuje z muzeum w Szczytnie, zbiera eksponaty w mazurskich chatkach i przekazuje do szczytnowskiego muzeum. Współpracuje z redakcją czasopisma „Nowa Wieś”. Wylosowuje bezpłatną dwutygodniową wycieczkę do Moskwy. Zwiedza stolicę i inne miasta Związku Radzieckiego.

Przepracowawszy w Orzeszkach kilka lat (już pod koniec pracy nauczycielskiej), przenosi się – ostatni już raz – do miejscowości Wujaki, położonej blisko Starego Myszyńca, nad dawną granicą polsko-niemiecką. Pracuje w 4 oddziałowej szkole z klasami łączonymi. Przeniósł się tu, by mieć spokojniejszą placówkę, lepsze warunki materialne i być bliżej stron rodzinnych. Mieszka z żoną i najmłodszą córką Elżbietą.²

W szkole w Wujakach przepracował tylko dwa lata. Dłużej już pracować nie mógł, nie pozwalało pogarszające się zdrowie. Nasila się cukrzyca i inne dolegliwości. Na tym tle powstają na palcach nóg niegojące się rany. Antybiotyki łagodzą tylko objawy choroby. Zaczyna dokuczać nadciśnienie i bóle reumatyczne. W tej sytuacji postanowił odejść na emeryturę, co nastąpiło z dniem 1 IX 1968 roku.

6. Ostatnie lata życia

Opuścił mieszkanie służbowe w Wujakach, chociaż mógł tam dalej mieszkać – zgodnie z postanowieniami ówczesnej Karty Nauczyciela. Za niewielkie pieniądze nabył drewniany domek (od wyjeżdżającego do Niemiec Mazura) w miejscowości Nowy Żydrój, koło Spychowa, w byłym powiecie Mrągowo. Urzekła go ładnie położona miejscowość (nad jeziorem) na skraju Puszczy Piskiej, mająca bardzo dobry mikroklimat. Może tutaj spokojnie odpocząć po trudach i znojach niespokojnego żywota.

Odwiedzają go dawni znajomi. Ciągnie ich urok miejscowości, piękno przyrody, dary natury, a także ciepło promieniujące z pełnej pogody ducha i radości życia osobowości Jana Kobusa. Po 30 latach niewidzenia odwiedza go w 1975 roku druh serdeczny i przyjaciel z Junackich Hufców Pracy w Jastarni, Henryk Książek, pochodzący z Kurpi białych, z Przetyczy koło Długosiodła, mieszkający po wojnie w Inowrocławiu. Przez 30 lat junacy ci nie spotkali się. Powojenne lata układały się w sposób skomplikowany i dramatyczny.

Jan Kobus wiezie nadal ciekawe życie. Prowadzi z żoną dom otwarty, który często odwiedzają przyjaciele, ludzie pióra, artyści. Dom ich miły jest i gościnny. Jego atmosfera, dyskusje, udzielają się dzieciom i wnukom, którzy dziadków darzą ogromnym szacunkiem.

Jan Kobus z zamiłowaniem zajmował się zbieractwem starych wartościowych książek, dzieł sztuki, starych (już często przez ogół

zapomnianych) przedmiotów użytkowych. Wnukowie, studiujący filologię polską, malarstwo, powołują się na zdolności i zainteresowanie odziedziczone po dziadku.

Do końca swoich dni nie zatracił zamiłowania do dalekich podróży. Dopóki pozwalało mu zdrowie i fundusze zwiedzał RFN (w Coburgu mieszka jego rodzina ze strony matki), Holandię, Węgry. Ciągle był ciekaw dalekiego świata.

Kres ziemskiej wędrówki zbliża się nieubłaganie. O wydarzeniach z życia przypominają partyzanckie odznaczenia, ubiór oficerski, który mógł nosić jako podporucznik wojska polskiego, dyplomy, podziękowania związane z nauczycielską pracą – no i wspomnienia.

W dniu 31 lipca 1988 roku odszedł na zawsze. Pochowany został w Myszyncu, niedaleko miejsc, na których zostawił ślady krwi w 1944 roku.

PRZYPISY:

- 1) Biografia Jana Kobusa, kurpiowskiego nauczyciela, partyzanta i społecznika, którego znałem i ceniłem wysoko, mówi wiele nie tylko jako historia człowieka, lecz także część historii regionu i kraju w XX wieku. Dlatego postanowiliśmy jej skrótowy zarys publikować. W całości warta jest pióra epika. (S. Pajka).
- 2) Starsza córka Janina uczy się w Liceum Pedagogicznym w Szczytnie, a syn Jan również w nauczycielskiej szkole w Ostrołęce. Najstarsza, zamężna, córka, Stanisława, mieszka blisko Szczytna.